

INFORMACJE

HISTORYCZNE I KULTURALNE

Z GMINY PILCHOWICE

KUŹNIA NIEBOROWSKA - LEBO SZOWICE - NIEBOROWICE - PILCHOWICE - STANICA - WILCZA - ŻERNICA

ISSN 2544-1094

NR 1 (36) LUTY 2026

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY



GMINA
PILCHOWICE

Na okładce: Sławek Rosowski. Fot. Piotr Skorupa

Godajōm mi Helmut

W bieżącym wydaniu:

Ewa Pieszka

Nasze „bajtle” i „potkowie”
str. 3-5

Judyta Rams-Groch

Czy na przyjaźń z teatrem
może być za późno?
str. 3-5

Krzysztof Waniczek

Historia ukryta pod drogą
str. 8-9

Paweł Żyła

Historia pewnego haka
str. 10-11

Agnieszka Robok

Rozmowa z Ireną i Ludwikiem
Maruszczakami
str. 12-13

**Ingemar Klos, Agnieszka Robok,
Ryszard Pławecki**

Chleba naszego powszednie daj nam...
str. 14-16

Teresa Bochenek

Rozmowa z Mateuszem Szotysikiem
str. 17-19

Monika Kustra-Polak

Podsumowanie finału WOŚP
str. 20-21

Anna Surdel

Działalność Stowarzyszenia
Pilchowiczanie Pilchowiczanom
str. 22-23

Obchody Marszu Śmierci - Gliwice/Bojków, Żernica

W dniu 18 stycznia w bojkowskiej parafii Narodzenia Najświętszej Maryi Panny odbyły się obchody 81. rocznicy Marszu Śmierci, który w styczniu 1945 r. wyruszył z obozu Auschwitz i jego licznych filii.

SS-mani pędzili więźniów ubranych w liचे odzienie w strasliwym mrozie na zachód, aby później przewieźć ich w głąb Niemiec. Bardzo wielu więźniów zginęło podczas tej gehenny. Mniejsze grupy więźniów przechodziły przez Bojków, gdzie zginęło około 30 osób; miejsce ich pochówku nie zostało jeszcze odnalezione. W Żernicy na końcu cmentarza znajduje się mogiła około 20 osób.

Przedstawiciele Muzeum Auschwitz po uroczystościach w Bojkowie udali się do Żernicy. Była to ich pierwsza wizyta na żernickim cmentarzu dlatego, że dopiero w minionym roku żernicka mogiła została wpisana do rejestru Grobów Ofiar Marszu Śmierci. Udało się to dzięki współpracy z emerytowaną etnografką Muzeum Gliwickiego, panią Bożeną Kubił.

Przedstawicielami Muzeum Auschwitz

byli: dr Jacek Lachendro, zastępca kierownika Centrum Badań Muzeum oraz dr Teresa Wontor-Cichy z tegoż Centrum.

Radę Dzielnic Bojków reprezentował główny organizator uroczystości w Bojkowie, nauczyciel historii Krzysztof Kruszyński.

Ingemar Klos



Przedstawiciele Muzeum Auschwitz na żernickim Grobie Ofiar Marszu Śmierci

INFORMACJE
HISTORYCZNE I KULTURALNE
Z GMINY PILCHOWICE

Wydawca: Gminny Ośrodek Kultury w Pilchowicach, ul. Karola Miarki 123, 44-189 Wilcza.

Redaktor naczelny: Waldemar Pietrzak.

Kolegium redakcyjne: Karol Hrubesz, Ryszard Pławecki, Agnieszka Robok, Genowefa Suchecka, Anna Surdel, Krzysztof Waniczek.

Projekt graficzny i skład: Piotr Skorupa.

Druk: Advert Studio Sp. z o.o. z siedzibą w Rudzie Śląskiej.

Nakład: 1000 egz.

ISSN 2544-1094

Nasze „bajtle” i „potkowie”

„Ciężarnej się nie odmawia”, „Ona taka śliczna w tej ciąży, że na pewno urodzi chłopca, bo przecież dziewczynka odbiera mamie urodę” - ileż to razy każdy z nas słyszał takie stwierdzenia... Przetrwwały one w naszym nowoczesnym, skomputeryzowanym i na wskroś racjonalnym świecie, jako swoisty spadek po przodkach, zachowany w języku i zbiorowej świadomości niczym echo czasów, gdy pomyślność na poszczególnych etapach życia próbowano sobie zapewnić poprzez system wierzeń i obrzędów, nakazów i zakazów. Najwięcej z nich dotyczyło wydarzeń postrzeganych jako czas zetknięcia wieczności z doczesnością oraz widzialnego z niewidzialnym - czyli narodzin i śmierci.

Wiele związanych z nimi elementów folkloru magicznego bezpowrotnie odeszło w zapomnienie, część jednak udało się utrwalić m.in. dzięki badaniom etnograficznym prowadzonym w Wilczy w latach 60. XX wieku, do których udało mi się uzyskać dostęp dzięki uprzejmości dr hab. Agnieszki Pieńczak z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej (obecnie Instytut Nauk o Kulturze) Uniwersytetu Śląskiego.

Spróbujmy więc - korzystając z tych materiałów - przyrzeć się żywym niegdyś na naszym terenie przesądom i zwyczajom związanym z oczekiwaniem na dziecko, narodzinami i pierwszymi jego miesiącami życia.

Tajemniczość i niesamowitość powstawania „z niczego” nowego człowieka sprawiała, że nasi przodkowie postrzegali ten czas jako okres, w którym matka i dziecko byli szczególnie podatni na wpływy rzeczywistości nadprzyrodzonej. W pewnym sensie działanie tych sił faworyzowało przyszłą matkę, bo np. - jak opowiadał etnografom mieszkaniec Wilczy - „Kiedy ciynżarno chce co pożyczyć, to musisz dać, bo inaczy w polu ci zgnije albo myszy zeźrom”.

Znacznie więcej jednak było takich przesądów, które kobiecie w ciąży zdecydowanie utrudniały codzienne funkcjonowanie. Nawet opisany powyżej zakaz odmawiania ciężarnej czasem występuje w wersji, w której to sama kobieta ponosi negatywne konsekwencje takiej odmowy - ma ona spowodować, że matce „zaciągnie oczy” albo „jeji bajtel bydzie zachciywny”. A to tylko jeden z wielu zakazów, których pełne było życie przyszłej matki. Nie mogła być chrześną, bo wtedy jednemu z dzieci - temu chrzczonemu lub noszonemu w tonie - zabraknie sił witalnych.

Nie powinna wieszać firan czy zastoni przechodzić pod sznurem - np. do suszenia prania - żeby pępownina nie okręciła się dziecku wokół szyi.

Na cmentarz wprawdzie chodzić mogła - trudno byłoby zresztą tego uniknąć w czasach, gdy niemal każdy kościół otoczony był cmentarzem - ale już „wonięcie cmyntarnych kwiołków” groziło utratą przez dziecko węchu.

Przyszła matka nie powinna też krzywoprzysięgać, kraść, a nawet „być nerwowo” (i jak tu radzić sobie z ciążowymi hormonami!) - bo inaczej wszystkie te negatywne cechy odziedziczy jej dziecko. Najczęściej jednak przekroczenie zakazu miało wpływać na wygląd potomka. Wierzono, że jeśli ciężarna dotknie zwłok - jej dziecko będzie blade, jeśli przyszła matka „przekroczy” leżącego - jej syn lub córka będą niscy, a „jak ciynżarno pałrzy bez dziurka, to dziecko bydzie świ-drate” (zezowate).

Kobieta w ciąży starała się też unikać rozpalania ognia czy czyszczenia pa-

leniska, bo gdyby - przestraszywszy się płomienia - dotknęła swojej twarzy lub innej części ciała, to dziecko mogło urodzić się z czerwoną plamką czyli „ogniym” w tym samym miejscu. Istniała też nowocześniejsza wersja tego przesądu - z żelazkiem w roli głównej: dziecko miało się rodzić z „ogniym” na buzi, jeśli matka w czasie ciąży oparzyła się żelazkiem i dotknęła swojej twarzy np. oparzoną palcem.

Z kolei znamiona - tzw. „mysia skórka” - miały pojawiać się u noworodka w miejscu, którego na swoim ciele dotknęła ciężarna przestraszona widokiem myszy, a liszaje na twarzy to skutek tego, że przyszła matka była „blisko konia, jak sikot lub parskot i krople na nia pyrskły”.

Generalnie, żeby dziecko było „szwarne, piykne” - matka w ciąży powinna przyglądać się ludziom urodziwym, zaś „zapatrzenie się” na osobę kaleką albo martwe zwierze miało grozić oszpecceniem dziecka.

Swoją moc miały też odpowiednie po-



Dzieciątko w beciku.

karmy – wierzono, że jeśli ciężarna będzie jadła „mandle” (migdały), dziecko będzie „szumne” (piękne), a „jak by dzie jadła żur – dziecko bydzie moc jak mur”.

A jak radzono sobie z przewidywaniem płci dziecka w czasach, gdy nie słyszano jeszcze o USG? „Jak ciynżarno miała brzuch bardzij okróngrty i smaka na stodycze, to miała urodzić się dziotzka, a jak brzuch był bardzi do szpica i ciynżarno jadła kiszone ogórki, kapusta - to rodziła syna. Starsze osoby we wsi do dzisiaj tak godajom – opowiadała mieszkanka Wilczy. - Mi sie to zawsze jakoś sprawdzało. I jak kobyta brzdnie w ciónży, to znaczy, że bydzie dziotzka”. Warto było też obserwować ruchy dziecka: dziewczynka miała kopać powoli, w dole brzucha, a chłopiec – energicznie i znacznie wyżej.

Gdy przyszedł czas rozwiązania, w domu zjawiała się „hebama” (akuszerka). Oprócz niej przy porodzie zwykle asystowała matka rodzącej, czasem w domu zostawał też mąż, jednak reszta domowników – głównie dzieci – zwykle przebywała w tym czasie u rodziny czy sąsiadów. Jeśli nie było takiej możliwości, położnicę izolowano od reszty rodziny zasłoną z płótna.

Czy były jakieś szczególne zwyczaje lub rytuały mające ułatwić poród?

To bardzo prawdopodobne, jednak w rozmowach mieszkańców Wilczy z etnografami taki wątek się nie pojawia. Za to wspomniano o ściśle określonych zasadach postępowania z łożyskiem już po porodzie – należało je zakopać „pod domowym dachem”, żeby szczęście pozostało w domu. Określenie „domowy dach” obejmowało również podwórko i ogród, przy czym jeśli chodzi o ten ostatni, to przy wyborze miejsca kierowano się kształtem owoców - po urodzeniu chłopca łożysko zakopywano najczęściej pod gruszą lub śliwą, a po urodzeniu dziewczynki – pod jabłonią. łożysku przypisywano też specjalną moc – potarcie nim miejsca z „myszką” lub „plamą ognistą” na twarzy dziecka miało przyczynić się do zanikania tych zmian.

W sposób specjalny postępowano również z wodą po pierwszej kąpieli noworodka: „Słyszatach od ómy, że trzeba było ta woda wyłoc za wiatrym, nojlepi pod krzok róży, na inksze kwotki abo na trowa, żeby lepij rosto. Niy wolno było wylywać jom na gnojok” – opowiadała mieszkanka Wilczy.

A co jeśli dziecko było „w czepku urodzone”?

Najczęściej traktowano to jak szczęśliwą wróżbę, czasem więc „czepek” suszono na piecu „na papiórze, jak pacharzyny” (pęcherze zwierzęce), żeby

potem włożyć do „wiązania” (prezentu chrzcielnego), ale bywało też, że dla domowników „czepek” nie miał jakiejś szczególnej wartości i wtedy niektóre „hebamy” zabierały go sobie na szczęście.

Po porodzie w życiu noworodka i jego matki następował czas wyjątkowy, gdy oboje byli szczególnie narażeni na wszelkie niebezpieczeństwa, również - a może nawet przede wszystkim - grożące ze strony świata nadprzyrodzonego. Uważano, że skoro dziecko nie zostało jeszcze ochrzczone – złe moce mają do niego ułatwiony dostęp, a i sama położnica do czasu „wywodu” narażona jest na kontakt ze złym, szczególnie po zmroku. Z tego powodu po porodzie nie należało wieczorem otwierać okna, a czasem zabraniano nawet suszyć ubranek czy pieluch na dworze, lepiej było też nie podawać położnicy lusterka, „bo by jej sie mógt diobol pokozac”. Najczęściej spotykany był zakaz opuszczania przez położnicę domu i wynoszenia z domu dziecka aż do dnia chrztu, a w niektórych wersjach – mimo wcześniejszego chrztu – do sześciu tygodni od urodzenia. W mniej restrykcyjnych formach zakaz ten dotyczył czasu po zachodzie słońca lub w czasie burzy. W zapiskach etnografów czytamy, że położnica nie mogła wychodzić przez sześć tygodni - czyli „jak długo się czyści” - „bo by jom mogło co podleciec”, „bo by mógła spotkać złego” albo – zgodnie z bardziej „medycznym” argumentem – „żeby jej piersi niy stwardły” (tak nazywano zapalenie piersi).

Kontakt z położnicą do czasu jej „wywodu” bywał też szkodliwy dla otoczenia. „Babcia opowiadała, że jak położnica przisza na zabawa weselno, to wywołała wielko bójka wśród gości – wspomina mieszkaniec Wilczy - a zaś jeszcze inno jak wlaża do obory sómsiada, to krowa straciła mlyko.” Noworodek również nie mógł opuszczać domu do dnia chrztu, bowiem groziło to utratą odporności czy nawet śmiercią. Zresztą złe siły mogły na niego czyhać również w domu:

„Godato sie, że jak taki bajtel duzo płakoł, mało spot i jodł, to to był podciep” czyli potomek istoty demonicznej „podciepniony” przez nią w miejsce dziecka. Jeden z rozmówców etnografów opowiadał, że „podciepa trzeba było bić np. różgą, to demon zwracał dziecko”.

Pozostaje mieć nadzieję, że nikt nie stosował w praktyce takiego rozwiązania i poprzestawano na innych sposobach chronienia dziecka - kropleniu wodą święconą, robieniu znaku

krzyża czy... wiązaniu kawałka czerwonej tkaniny. Nic dziwnego, że – wobec tych wszystkich ograniczeń – chrzest (w zapiskach etnografów pojawia się też na jego określenie piękne słowo „radośnik”) bywał wydarzeniem uroczystym, ale i wyczekiwany. Najpierw jednak należało wybrać „potków” czyli chrzestnych. Kierowano się przy tym przede wszystkim więzami krwi i pozytywnymi cechami charakteru przyszłych rodziców chrzestnych, ale nie tylko - nie brało się „za potków” kobiet w ciąży, osób w żałobie i narzeczonych („bo się rozleca”), za to znacznie częściej niż dziś bywało, że chrzestnymi zostawała para małżeńska.

Propozycję zostania chrzestnymi traktowano jako zaszczyt, więc nie wypadało odmawiać, poza tym taka odmowa miała przynosić pecha.

W samym dniu chrztin znacznie więcej obowiązków spoczywało na chrzestnej niż na chrzestnym – to ona przed wyjściem do kościoła przyszywała bukiecik kwiatków lub mirtu do „kapki” czyli narzułki na becik dziecka, to ona szyła lub kupowała mu białą szatkę wykorzystywaną podczas ceremonii chrzcielnej, zdarzało się też, że to właśnie „potka” niosła dziecko do kościoła.



Stara chrzcielnica z grubo ciosanego kamienia umieszczona w babińcu, która w minionych wiekach służyła do przechowywania święconej wody używanej w czasie sprawowania sakramentu chrztu św.

Za to prezenty chrzcielne dziecko dostawało od obojga rodziców. Najczęściej było to „wiązanie” czyli pudełko ozdobione postacią aniołka i przewiązane wstążką - niebieską dla chłopca lub różową dla dziewczynki – do którego wkładano pieniądze. Wpadało dawać pieniądze „grubsze” (banknoty), czasem dodawano po jednej monecie z każdego istniejącego nominału, żeby „piniyndzy dzieku niy brakło” lub symboliczne przedmioty - np. pióro, aby chrześniak w przyszłości „był uczony” czy igłę, by chrześniaczka była dobrą szwaczką.



Poródowka w zamku wilczańskim – „hebama” Elżbieta Malik z bajtlem.

„Wiązanie” często wkładano do beci-ka dziecka i zabierano do kościoła na ceremonię chrzcielną. W świątyni, po ochrzczeniu dziecka następował wywód - matka klękała przed ołtarzem trzymając zapaloną świecę w ręku, i obchodziła ołtarz dookoła.

Wracając po chrzcie, zatrzymywano się z dzieckiem na ręku w drzwiach domu i wypowiadano zwyczajową formułkę: „Wziyli my poganina, a przyniśli chrześcijanina”. Niektóre matki starały się po powrocie z kościoła jak najprędzej rozwiązać wstążeczki „wiązania” od chrzestnych, bo miało to „rozwiązywać” mowę dziecka (zapewnić mu łatwość uczenia się mowy).

W zapiskach etnografów czytamy też: „Kto chciał, żeby ochrzczone działo była piykno i widziano (miała w przyszłości powodzenie) wywieszoł w oknie jeji czopeczka od chrztu”.

Chrzestnych i chrześniaków tączyla więź na całe życie. Gdyby przedwcześnie zabrakło rodziców, to chrzestni byli zobowiązani zając się dzieckiem i wychować je. Zobowiązania te były zresztą obustronne – jeśli chrzestnym źle się wiodło, to dorosłe chrześniaki powinny były ich wspomagać. Ten wyjątkowy status chrzestnych znajdował odzwierciedlenie w języku – w rozmowie z etnografami mieszkańcy Wilczy wspominali, że przy spotkaniu pozdrawiano swoich chrzestnych słowami „Witejcie potku/potko”, a jeden z rozmówców witął chrzestnego pełnym ciepła zwrotem: „Witom was pociczku”.

Opieka nad dzieckiem po chrzcinach nie była już obwarowana tyłoma przesądami, zakazami i nakazami, co nie

znaczy, że takowe nie istniały. Aż do ukończenia przez dziecko pierwszego roku życia nie należało mu obcinać włosów, a niektórzy odradzali nawet ich czesanie – miało to grozić chorobą dziecka lub... powstaniem kołtuna. Kołyskę starano się ustawić w taki sposób, by księżycowe światło nie padało na główkę dziecka, gdyż pod wpływem księżyca w pełni dziecko mogło zostać lunatykiem.

Bardzo groźne miało być „kolybanie” pustej kołyski czy pustego wózka, bo „to jakbyś kolyboł złego” lub też – w innej wersji - miało wróżyć, że dziecko

będzie w życiu poniewierane.

Nie należało odstawić dziecka od piersi, gdy ptaki na zimę odlatują. Nie powinno się też zaczynać ponownie karmić piersią, jeśli wcześniej „zażegnało się karmienie” (czyli odzwyczażyło już dziecko do piersi), gdyż takie dziecko mogło stać się „morą” (zmarą) dzięki zyskaniu „drugiego ducha” (drugiej duszy).

Złą wróżbą było również przypalenie ubranka czy pieluszki dziecka np. podczas prasowania – oznaczało to, że „na dziecku wszystko bydzie się polito, bydzie niszczyło łachy”. A że tego niszczenia – bez względu na wszelkie wróżby – ciężko było uniknąć, dzieci obojga płci „tyrały w hazukach” (długich koszulkach, sukieneczkach), które chłopcy dopiero w wieku 3-4 lat zmieniali na „galoty z klapką”, zaś „zwykłe galoty” ubierali najczęściej idąc do szkoły. Ale dawna szkoła to już zupełnie inna – i pozbawiona magicznego elementu – historia..

Ewa Pieszka

Źródła:

Materiały źródłowe pochodzące z terenowych badań etnograficznych przeprowadzonych w Wilczy w 1969 r. przez mgr. Stefana Łysika, zdeponowane w Pracowni Polskiego Atlasu Etnograficznego w Cieszynie - kwestionariusz-notatnik nr VII pt. „Zwyczajy, obrzędy i wierzenia urodzinowe” – Zakład Polskiego Atlasu Etnograficznego IHKMPAN



Powrót z kościoła po ceremonii chrztu św.

Czy na przyjaźń z teatrem może być za późno?

Odpowiadając na tytułowe pytanie, jestem przekonana że nie, że na przyjaźń z teatrem nigdy nie jest za późno. Czy podobnie twierdzi Sławek Rosowski – aktor, którego niedawno mieszkańcy naszej gminy mogli oglądać w roli Helmuta, w przejmującym monodramie na podstawie dzieła Alojzego Lyski pt. „Godajom mi Helmut”?

- Oczywiście, że nigdy nie jest za późno, a ja jestem tego najlepszym przykładem – odpowiada aktor Teatru dla Dorosłych z Bierunia. – U mnie początki teatralnej przygody związane są ze szkolnym przedstawieniem. Grałem rycerza walczącego ze smokiem, niestety tego, który go nie pokonał (śmiech). Być może to był ten bakcyl, jednak na za przyjaźnienie się z teatrem potrzebowałem wielu długich lat. Jeszcze pracowałem – ostatnie miesiące – kiedy Joasia zaproponowała mi dotychczas do nowopowstałego zespołu teatralnego. Asia Lorenc to znajoma polonistka, która zaczęła tworzyć niezawodową grupę teatralną dla dorosłych. Dołączyłem do tej grupy i ta teatralna droga wciąż mnie zaskakuje.

Zacząłem od gry w sztuce, na podstawie książki Marcina Melona pt. „Komisarz Hanusik”. Później było sporo ról komediowych w sztukach tego samego autora. Po 10 latach przyszła „Wiljo na poziomie 650”, a to, co wydarzyło się po zagranie monodramu „Godajom mi Helmut”, przeszło moje najśmielsze oczekiwania.

Jestem ogromnie wdzięczny Alojzemu Lysko za tę szansę, którą od niego niespodziewanie dostałem. Ta rola, obudziła moją śląską tożsamość. Zacząłem szukać informacji o Śląsku, nie tylko historycznych, ale również kulturalnych. I tak wylądowałem na podyplomowych studiach - Wiedza o Regionie na Uniwersytecie Śląskim. Tego nie było w żadnych moich planach.

Aktor niejednokrotnie - jak mówi - miał okazję przekonać się, że monodram wywołuje w widzach silne emocje. Przejmująca cisza po zakończeniu spektaklu, również na żernickiej scenie była tego dowodem, a wzruszenie widzów było widoczne.

- Zdarza się, że po spektaklu wiele osób chciało się podzielić wspomnieniami swoich rodziców, dziadków, a czasem nawet swoimi. Nie kryli wzruszenia. Taka postawa, zawsze wywołuje u mnie wiele emocji – mówi Rosowski.



Sławek Rosowski w roli Helmuta.

Fot. Piotr Skorupa



Dzięki naszemu gminnemu projektowi „Przyjaźń z Teatrem” na scenie w Żernicy można było zobaczyć nie tylko Helmuta, ale i „Mianujom mie Hanka” – monodram, który doczekał się ekranizacji. Czy podobnie będzie z „Godajom mi Helmut”?

- Jeszcze nie ten czas, ale byłbym zakłamanym mówiąc, że tego nie chcę - kontynuuje pan Sławek. - Trzeba przyznać, że moim marzeniem jest, aby „Godajom mi Helmut” mogło zobaczyć szerokie grono odbiorców, szczególnie uczniowie szkół.

W Żernicy wystawiono go z okazji obchodów rocznicy Tragedii Górnośląskiej. I jak się okazało cieszył się dużym zainteresowaniem, wszak trzeba było dostawić kilka dodatkowych krzeseł dla publiczności.

Wracając do projektu „Przyjaźń z Teatrem”, nie sposób nie zaobserwować ogromną chęć uczestnictwa w programie. Dla mieszkańców naszej gminy nie ma znaczenia, czy spektakle są grane na scenie w Domu Kultury, czy trzeba pojechać do Teatru Zagłębia, do Teatru Banialuka, czy też do Teatru Śląskiego, gdzie rekordowa grupa zobaczyła „Pokorę”, według powieści Szczepana Twardocha.

Projekt powstał również z myślą o dzieciach i młodzieży. Dowodem są wyjazdy do Bielska-Białej na „Pchłę Szachrajkę”, czy do Teatru Zagłębia na „Nową Księżę Dżungli”.

Taki jest cel projektu, realizowanego przez Gminny Ośrodek Kultury w Pilchowicach oraz Gminną Komisję Rozwiązywania Problemów Alkoholo-

wych.

Na inaugurację sezonu 2026 - w marcu - w Żernicy będzie można zobaczyć komedię „Hollywood na placu”, którą wystawi Teatr dla Dorosłych z Bierunia. W propozycjach na ten rok nie zabraknie pozycji dla najmłodszych.

„Przyjaźń z Teatrem” ma udowodnić, że teatr nie jest nudny, że wywołuje prawdziwe i szczerze emocje. Wielokrotnie radość, czasem również smutek. Każda z tych emocji jest ważna.



Judyta Rams-Groch



Kilkadziesiąt godzin po spektaklu, pomysłodawczyni i realizatorka projektu „Przyjaźń z Teatrem” - Judyta Rams-Groch otrzymała wiadomość od Sławka Rostowskiego, odtwórcy głównej roli w monodramie „Godajom mi Helmut”. Te kilka zdań jest też skierowane do wszystkich mieszkańców naszej gminy.

(...) Tak wyjątkowe przyjęcie nas i to po raz drugi sprawia, że czułem się jak u przyjaciół.

Judyta, w wyjątkowym miejscu żyjesz i wśród wyjątkowych ludzi. Przyjęcie spektaklu oraz to, co po nim się wydarzało, było pięknym dowodem na to co napisałem wcześniej. Dziękuję w imieniu nas, ale również w imieniu naszych dziadków i ich rodzin, które żyły w czasach opisywanych przez Pana Alojzego.

Mom Was fest we zocy - Sławek

Historia ukryta pod drogą

Trwający w Pilchowicach remont drogi wojewódzkiej 921 zaowocował kilkoma znaleziskami, w tym jednym naprawdą unikalnym, a kilkoma interesującymi i rozpalającymi wyobraźnię społeczności, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę miejscowe przekazy.

W mojej opinii najbardziej niezwykłym i wartościowym odkryciem jest betonowa zapor przeciwpancerna opisana w naszym kwartalniku w nr 2 (33) z czerwca 2025. Zainteresowanych odsyłam do tego artykułu, tu tylko wspomnę, że jest to póki co jedyne tego typu urządzenie odnalezione i częściowo zachowane do ekspozycji na Górnym Śląsku.

W lutym ubiegłego roku na odcinku przy obecnie powstającym rondzie odkryto w wykopie kilkadziesiąt równoległych ułożonych drewnianych belek. Teorii było kilka. Pojawił się nawet pomysł, że to pozostałość jakiejś palisady, ponieważ były stosunkowo głęboko pod poziomem drogi. Liczyliśmy też, że to może jakiś ślad średniowiecznego traktu, wszak na wprost od tego miejsca, przez ulicę Bierawka i dalej przez bród na rzece prowadziła dawna główna droga do Gliwic. Na marginesie, o możliwość używania tegoż brodu w XVII wieku prosił w liście do właściciela Pilchowic sam opat rudzkiego klasztoru.

Po badaniach archeologicznych okazało się, że drewno pochodzi z XIX w., a belki są formą odwodnienia umieszczoną pod właściwą drogą. Nawet podczas aktualnie prowadzonych robót pojawił się w tym miejscu napływ wody gruntowej, nic dziwnego więc, że dawni budowniczowie próbowali sobie poradzić z tym problem własnymi metodami. Liczyliśmy na ciekawe znaleziska w tym miejscu w rodzaju monet czy drobnych przedmiotów, ale belki były jedynie pokryte żużlem i tzw. „szkłem hutniczym”.

Prawdziwą ciekawość wzbudziła informacja o odkryciu łukowego sklepienia wykonanego z cegieł w rejonie skrzyżowania ulic Damrota i Dworcowej.

Powróciły często słyszane opowieści o rzekomym tunelu, który miał łączyć... No właśnie, i tu się wersje mnożą.

Tunel miał łączyć: zamek (gminę) z kościołem, farą, nowym pałacem, klasztorem, w dalszej odległości z grodziskiem na tzw. „Parasolu” przy ul. Bierawka, a nawet klasztorem w Rudach.

Być może faktycznie istniał jakiś tunel komunikacyjny, ale raczej był krótki i łączył jakieś dwa niedaleko położone budynki, na przykład farę i szkołę parafialną. Taki tunel wszak należało wyko-



pać, gdzieś pozbyć się urobku, umocnić ściany i stropy a przede wszystkim zabezpieczyć przed wodą gruntową, a tej w tym rejonie nie brakuje.

Biorąc powyższe pod uwagę nie uznaję za prawdopodobne istnienia jakiegoś długiego i szerokiego tunelu komunikacyjnego, ponieważ byłoby to skomplikowane przedsięwzięcie inżynierskie. Miałem też okazję zobaczyć z bliska rzekomo zamurowane wejścia do tuneli w piwnicach zamku, obecnie Urzędu Gminy. Za jednym z nich znajdują się wyłączony z użytku schody z piwnicy na piętro, a druga ściana powstała w czasach nowożytnych i jest prawdopodobnie zamurowanym, szerokim wejściem do zamkowej

piwnicy – mogła tam znajdować się np. rampa do spuszczenia beczek do podziemnych składów.

Wracając do ceglanego sklepienia, okazało się być zamulonym kanałem burzowym skierowanym w stronę dawnego klasztoru, obecnie szpitala. Być może pochodzi z czasów, gdy klasztor nie miał jeszcze bocznych skrzydeł. Wylot tego kanału uchodził do potoczku mniej więcej przed dzisiejszym wejściem do restauracji „Kaprys”. Ślady tej odnogi, odbierającej wodę z kościelnego placu i dachu, można zobaczyć w wykopie. Kanał, ze względu na zły stan techniczny, został niestety rozebrany i jedynym śladem po nim są już tylko zdjęcia.

Niedaleko miejsca, gdzie znajdował się kanał burzowy, na parkingu wykonano też wykop w celu przebudowy sieci gazowej.

Mieszkańcy znający historię wiedzą, że w tym miejscu znajdował się ciąg sklepów, w tym między innymi żydowski sklep Perla i Jotkowița zapisany w pamięci historii o znalezionym złocie.

Budynki te zostały zniszczone przez zdobywającą Pilchowice Armię Czerwoną.

W wykopie wykonanym podczas aktualnego remontu drogi, były widoczne fragmenty ceglanych murów, rurki itp., jak nic stanowiące ślad po fundamentach i piwnicach dawniej stojących tu budynków.

Kolejnym znaleziskiem, może nie tak spektakularnym i rozpalającym wyobraźnię, ale za to malowniczym i świadczącym o rozwoju naszego miasteczka, był bruk.

Praktycznie na całym przebiegu remontowanej drogi w ścisłym centrum Pilchowic, pod aktualnym asfaltem znajdował się starannie ułożony bruk, a w rejonie wjazdów do szpitala można było zobaczyć jeszcze starszą wersję tej nawierzchni. Tu też ślad po historii musiał ustąpić nowym technologiom i bruk został rozebrany, aby umożliwić budowę drogi zgodnie z aktualnymi wymogami.

Podczas remontu drogi w wykopach parokrotnie znaleziono też kilka odcinków nieczynnej już kanalizacji deszczowej z dawnych czasów, wykonanej np. z rur żeliwnych.

Nie miały one specjalnej wartości historycznej, ale potwierdzały wysoki poziom dbałości naszych przodków o komfort użytkowania drogi oraz zamieszkania.

Remont drogi powoli dobiega końca i raczej nie nastąpią już jakieś spektakularne odkrycia, choć nigdy nie wiadomo.

Jeżeli takowe będą miały miejsce, to z pewnością poinformujemy o nich naszych PT Czytelników. A póki co, chodząc po, mamy nadzieję, wkrótce wyremontowanych chodnikach i drogach, pamiętajcie że i pod nimi znajduje się wycinek naszej historii.



Krzysztof Waniczek



Historia pewnego haka

W ogrodzie, w szopie bądź w zwykłym domowym zaciszu, czasem nawet wyeksponowane, jako zwykła ozdoba na fasadzie budynku. Tak zwanych „przydasi” jest wiele. Często nie zwracamy na nie uwagi.

Zawsze orbitują gdzieś na granicy egzystencji między ściśle określonym celem a zwyczajną otchłanią zapomnienia – ostatecznie czasem nawet śmietnikiem czy złomowiskiem.

Pojawiają się w naszym życiu znienacka, tak szybko, że nie jesteśmy w stanie przypisać im konkretnej roli na wspólną przyszłość. Więc często czekają na stracenie bądź wybawienie, w pudełkach, w szafkach czy na półkach - aż sobie o nich przypomnimy i zadecydujemy „przyda się czy to może już czas, aby pozbyć się kolejnego rupiecia z naszego szczupłego, lecz cennego metrażu?”.

Ale dawniej, zanim u nas się pojawiły, miały ściśle określony cel, funkcję do spełnienia. Nie inaczej jest w tym przypadku.

Na pierwszy rzut oka niepozorny przedmiot, a jednak niemy świadek głodu, mrozu i walki o przetrwanie gdzieś w cieniu chylącej się ku głośnemu upadkowi III Rzeszy.

Na tyle pospolity, że zniknął z naszego pojmowania.

Jest to pewien hak: mały, stalowy. Na

ogół niepozorny, z dziwnym podłużnym otworem przez który, jak się okazuje, przechodzi skórzany rzemyk ze stalową klamerką spinający w wymuszonej symbiozie rumaka z wozem konnym będącym jednym z wielu i tak niewydolnych ogniw łańcucha logistyki armii niemieckiej II wojny światowej.

Skąd w takim razie hak niemieckiego wozu taborowego w Stancicy?

Czym właściwie jest ten wóz taborowy i dlaczego był istotnym elementem logistyki państwa, które w powojennym rozumieniu II wojny światowej było jednym z najbardziej rozwiniętych technologicznie?

Wraz z końcem drugiej wojny światowej i upływem kolejnych dekad wyrosło pełno mitów od najbardziej legendarnych mówiących o niezniszczalnych Tygrysach i Panterach czy całkowicie zmotoryzowanych wojskach.

Jak się później ma okazać, wszystko to w znacznej części mity i legendy, i to mity szkodliwe.

Historia wozów konnych rozpoczyna się wraz z odkryciem koła. Na początku wozy spełniają funkcję transportową dla dóbr osobistych, handlu i transportu rodzin w koczowniczym trybie życia naszych przodków, później zaś

zostają wchłonięte przez prymitywne wojny.

Przez wieki wozy rozwijają się: dodawane są dodatkowe osie, dłuższe dysze, a co za tym idzie dodatkowe konie i zwiększony tonaż.

Wymusza to zastosowanie rozwiniętych udoskonaleń, takich jak stalowe obręcze czy obejmki spinające osie w całość.

Za szczytowy okres w rozwoju wozów konnych można uznać z całą pewnością cały wiek XIX.

To właśnie w epoce przemysłowej doszło do największego rozwoju wozów konnych wymuszonego przez transport węgla oraz fabrycznych prefabrykatów czy budowę dróg, później dalsze wojny czy to zjednoczeniowe, czy kolonialne.

Wozy konne, na ogół niepozorne, stają się głównym nosicielem idei po całym świecie - od Wielkiej Brytanii do Indochin, od Belgii do Konga.

Nadchodzi XX wiek.

W drugiej połowie drugiej dekady wybuchła I wojna światowa, która miała zakończyć wszystkie wojny - La Grande Guerre czy inaczej Wielka Wojna. Trwający cztery lata konflikt pochłonięty około 40 milionów istnień ludzkich oraz 8 mln koni, mułów i osłów.

W czasie Wielkiej Wojny zwierzęta będą pracować ponad siły m.in. przy holowaniu zbyt ciężkich armat.

W zaprzęgach liczących nieraz powyżej czterech, a nawet sześciu sztuk będą padać w błocie z wycieńczenia, kontuzji, czasem nawet będą wraz ze swoimi opiekunami ofiarami gazów bojowych.

Wielka Wojna będzie pierwszym wielkim konfliktem, w którym konie będą pracować ramię w ramię z pierwszymi samochodami, czołgami, a nawet samolotami.

Gdy nadejdzie koniec, nieliczne wrócą do pracy na gospodarstwach, w kopalniach czy w fabrykach, inne skończą w ubojniach.

Gdy nadejdą lata dwudzieste, a co za tym idzie kolejne konflikty i światowy kryzys, konie nieprzerwanie będą pracować stopniowo zastępowane przez samochody.

Wielka Wojna pokazała potencjał zmechanizowania sił i dalszego rozwoju motoryzacji, którego również chwilowo będą beneficjentami. Dotychczas ciągnięte wozy zyskują zamiast drewnianych, obitych stalą kół - lekkie, pełne, stalowe felgi na dmuchanych oponach, rzadziej na samych bandażach.

Gdy zacznie nadchodzić widmo przyszłej, jeszcze bardziej perwersyjnej w skali wojny, konie pozornie zaczną odchodzić do lamusa (przynajmniej w propagandzie). Oł, na ich miejscu mają stanąć ciężarówki, transportery półgąsienicowe oraz gąsienicowe nośniki broni zapewniające większą mobilność i swobodę w ruchu wojsk.

Gdy propagandowy blichtr minie, nadejdzie wielki zawód.

Siegfried Knappe w swojej książce „Soldat: Refleksje niemieckiego żołnierza” napisał:

„Ku mojej konsternacji dostrzegłem tam stajnie oraz konie i serce mi się ścisnęło na ten widok. Skonsternowany, zwróciłem się do mojego sąsiada z kolejnym pytaniem:

- Myśli pan, że ciągle jeszcze używają koni do ciągnięcia dział? - zapytałem, desperacko licząc na negatywną odpowiedź.

- Obawiam się, że tak - odpowiedział, wyczuwając mój zawód.

Nagle artyleria utraciła cały swój splendor i wdzięk. Zamiast prowadzić działo samobieżne, będę poganiał konie. Miałem ochotę zawrócić do domu.”

Nadchodzi druga wojna światowa, ostatnia wielka wojna, w której konie, użytkowane wraz z wozami na szeroką skalę od początku aż do końca, będą świadkami upadku Polski, zdobycia



Narodowe Archiwum Cyfrowe

Niemieccy żołnierze z transportem zaopatrzenia na dwuosiołowym bojowym wózku piechoty „Gefechtkarre IF 9” przeznaczonym do transportu ciężkiego Moździerza 8 cm Granatwerfer 34 Front wschodni. Zima 1942 rok.

Francji, kapitulacji Włoch oraz długoletniej gehenny na froncie wschodnim zakończonej w Berlinie z początkiem maja 1945 roku.

W tym konflikcie konie okażą się bezcenne - tam, gdzie nie umiały poradzić sobie gąsienice, tam konie dają radę. Bezkrzesne bezdroża, gęste błota oraz mróz frontu wschodniego zdyskwalifikują wszelkiego rodzaju pojazdy wyposażone w silniki.

Dziesiątki tysięcy koni wyruszą w podróż wraz z woźnicami.

Od tej pory wiele zaprzęgów będzie zwanych „Panjewagen” - termin ten wywodzi się jeszcze z wcześniejszej Wielkiej Wojny, kiedy to m.in. Austro-Węgry do pracy w armijnej logistyce z terenów obecnej i dawnej Polski zaciągali chłopów wraz z ich końmi.

W drugiej wojnie jednym z „zleceniodawców” będzie III Rzesza, która, aby uzupełnić braki w własnych zaprzęgach konnych, będzie w ten sam sposób zaciągająca chłopów.

W Wehrmachcie dostaną mundury, nocleg i żywność w zamian za pełnienie roli łańcucha pokarmowego dla piechurów niosących na swoich barkach Narodowy Socjalizm. Jedni uciekną, inni będą się toczyć za frontem aż do momentu, gdy front stanie i zaczną się cofać.

Podczas tej wojny w użyciu będzie szeroka gama wozów - ciężkich, lekkich i, jak się okaże później, nawet bardzo prostych „Ersatzfeldwagen” - zastępczych wozów polowych. Skonstruowa-

nych po doświadczeniach frontu wschodniego i oględzinach na pozór prostych, lecz niemniej wydajnych chłopskich zaprzęgów.

W armii wozy konne nieraz będą pełnić te same funkcje, co samochody - od transportu, przez piekarnie lub ambulanse po nawet łączność.

Gdy nadejdzie koniec wojny, te wysoko wyspecjalizowane zostaną rozebrane i wykorzystane w inny sposób. Te proste w swej formie, w której ograniczały się jedynie do prostej skrzyni łańcukowej, przetrwają dekady pracując na gospodarstwach rolnych i w lasach, stopniowo tracąc własną tkankę. Gdy staną się nieprzydatne, trafią najpierw do szopy, potem rozebrane czy pocięte powędrują w różne zakamarki, żeby czekać, aż ktoś je odkryje.

Nie inaczej było w przypadku tego haka. Wraz z przejściem frontu w styczniu 1945 roku za stacją kolejki wąskotorowej miały zostać porzucone wozy taborowe w nieznaną nam ilość, później przez mieszkańców wchłonięte i wykorzystane według potrzeb.

Kto wie, może poza tymi paroma hakami znajdzie się coś więcej?

Koło, skrzynia, a może i cały wóz.

Nasze zakamarki czasem kryją więcej, niż nam się wydaje.



Paweł Żyła

Rozmowa z państwem Ireną i Ludwikiem Maruszcakami

O genealogii, pamiątkach uratowanych przed wyrzuceniem na śmieci i zdjęciach ukrytych w starej szafie”

Panią Irenę Maruszcak poznałam jako jedną z najbardziej aktywnych obserwatorek strony Pilchowice Historia Gminy. W sprawie jednego z postów skontaktowała się ze mną telefonicznie. Wtedy dowiedziałam się, że państwo Maruszcakowie chętnie opowiedzą o swoich znaleziskach i pamiątkach z przeszłości naszej okolicy. Trochę czasu upłynęło, ale w końcu udało nam się spotkać i porozmawiać. Spotkaliśmy się w upalny sierpniowy wieczór. Na stole czekała już pokaźna kolekcja starych fotografii.

Agnieszka Robok: Czy to państwa rodzinne zdjęcia?

Irena Maruszcak: Nie tylko. Tak już mam, że cokolwiek wpadnie mi w ręce, co jest stare i jakoś tam wartościowe, to staram się tego nie zaprzepaścić. I tak na przykład, kiedy budowaliśmy nasz obecny dom mieszkaliśmy w domu państwa Gorzollów na Dolnej Wsi. Ci państwo wyjechali do Niemiec. Znaleźliśmy tam kilka starych zdjęć. Na jednym z nich jest nieistniejący dom na Dolnej Wsi z warsztatem szewskim i stolarskim Chwolków.

Dyplom mistrzowski szewca pana Chwolkę znaleźliśmy w śmieciach, kiedy jedna rodzina na Wilczy czyściła dom

przed wynajęciem go. Jest to dyplom z 1915 roku. Był też drugi dyplom - mistrza stolarskiego należący do brata pana Chwolkę. Bardzo duży, pięknie oprawiony. Wisiał u nas w domu. Tam zauważyła go jedna z krewnych z tej rodziny i poprosiła o niego. Ale dyplom szewski Konrada Chwolkę nadal mamy. Dużo ze zdjęć znalezionych w domu państwa Gorzollów rozdałam. Jeśli udało mi się kogoś rozpoznać, to dawałam te zdjęcia dzieciom tych osób albo jakimś zainteresowanym krewnym.

Innym razem kupiliśmy dom do rozbioru na cegły, bo były to czasy, że ciężko było o materiały budowlane. W tym domu znaleźliśmy m.in. zbiór czasopism „Iskry” z 1925 r., które oprawiliśmy i mamy do dziś. Ale oczywiście mamy też wiele fotografii rodzinnych.

A.R.: Widzę tu szczególnie cenną fotografię z atelier Volkmana w Gliwic.

I.M.: Tak. To moi pradziadkowie z Żernicy: Emanuel Klistała i jego żona Józefa z domu Balon. Józefa jest na tym zdjęciu w ciąży. Niestety zmarła po tym porodzie. Jest więc to jej ostatnie zdjęcie. Wykonano je w 1920 r.

A.R.: Na wielu zdjęciach widzę piękne śląskie stroje.

I.M.: Moja babcia z Żernicy do śmierci chodziła „po chopsku”. Raz w życiu została zmuszona, żeby ubrać się inaczej. Było to na pogrzebie zięcia w Niemczech. Jej córka wstydziła się tego ludowego stroju, zaciągnęła ją do sklepu i ubrała „po pańsku”.

Babcia wracając do Polski, jak tylko wysiadła z pociągu w Gliwicach, to powiedziała „Jo sam mom w taszy te moje klamory. Ściongejcie to zy mie”. Bez swoich kiecek czuła się jak nago.

A.R.: Widzę, że sporo pani wie na temat swoich przodków! Czy interesuje się pani genealogią?

I.M.: Tak. Od strony mamy mam już „rozpracowaną” całą rodzinę. Wszystko jest spisane w tym zeszytce. Ale od strony taty dopiero zaczynam i jest to bardziej skomplikowane, bo mój dziadek ze strony taty był adoptowany. Urodził się w rodzinie Baron, ale mama

oddała go na wychowanie swojej siostrze, która nie miała dzieci i tata przyjął nazwisko Willim. Niewiele się o tym mówiło w rodzinie, ale nie dlatego, żeby to była jakaś tajemnica. Raczej dlatego, że w tamtych czasach takie rzeczy zdarzały się dosyć często.

A.R.: To prawda. Sama już niejednokrotnie słyszałam o przypadkach, kiedy rodziny w których było np. więcej dzieci oddawały jedno z nich na wychowanie krewnym.

I.M.:...: Jeśli chodzi o moje poszukiwania genealogiczne, to zastanawiam się czy szukać przodków według nazwiska czy „po krwi”. Ale pewnie spróbuję iść w oba kierunki. Na tym zdjęciu jest dziadek Konrad i jego biologiczny ojciec - Wiktor Baron.

A.R.: Czy to jest to zdjęcie znalezione w starej szafie, o którym wspominała pani przez telefon?

I.M.: Tak. A tam stoi ta szafa. To kolejna rodzinna pamiątka. Mebel należał do pradiadka Wiktora. Ale potem długo stał w garażu, w szopce, potem mój kuzyn ksiądz pomalował go lakfarbą, której do dziś nie udało się do końca usunąć. Kiedy babcia zmarła i jej dom mieli burzyć wzięłam tę szafę do siebie. I znów mebel stał w stodole, w piwnicy, w garażu, gdzie go czyściliśmy. Przy czyszczeniu w jednej z szuflad znalazłam podwójne dno, a pod nim zdjęcie i kilka niemieckich dokumentów o przyznaniu niemieckiej renty odszkodowawczej.

Zdjęcie oprawione w ramkę przedstawia ślub Gertrudy i Alojzego Baron w 1930 r. i wykonano je przed domem Baronów na Dolnej Wsi (ostatnie zabudowania przed wjazdem na ulicę Sadową). A wracając do drzewa genealogicznego, to kiedy rozpisalam sobie rodzeństwo babci i ich potomków, to okazuje się, że jestem spokrewniona z wieloma mieszkającymi dziś w Pilchowicach i Nieborowicach rodzinami.

Moja mama miała w Żernicy 59 kuzynów, bo jej mama a moja babcia miała 13 rodzeństwa. Mama zawsze się śmiała, że we wsi ciężko jej było spotkać chłopaka, który by nie był z nią spokrewniony.



Józefa i Emanuel Klistała.
Nieborowice 1920 rok.

A.R.: Gdzie szuka pani informacji genealogicznych o przodkach?

I.M.: W internecie, ale przede wszystkim jeżdżę do parafii i urzędów. Okazało się również, że kilka osób z dalszej rodziny zbierało już te informacje, więc mogę skorzystać z ich wiedzy. Dowiedziałam się, że jeden z moich dalekich krewnych pisze książki o obozie w Oświęcimiu, gdyż więziony tam był jego dziadek - brat mojego dziadka.

Co ciekawe, mój dziadek został wcielony do Wehrmachtu, a jego dziadek z poglądy polskie został wysłany do Auschwitz i tam zmarł. Wiele podobnych historii miało miejsce na Śląsku...

A.R.: Na zdjęciach poznaję tartak w Leboszowicach. Czy pani rodzina związana jest również z Leboszowicami?

I.M.: Nie. To zdjęcia rodzinne męża.

Ludwik Maruszczak: Mama pracowała w tartaku i na piaskowni w Leboszowicach. Stąd te zdjęcia. Piaskownia mieściła się tam, gdzie obecnie hołda między Leboszowicami a Smolnicą. A w tartaku to nawet ja jako dziecko pomagałem z kolegami. Za to kierownik co roku organizował nam wakacje w Istebnej.

A.R.: Jedno z tych zdjęć zrobiono przed szkołą w Leboszowicach, prawda?

I.M.: Tak. Mieszkaliśmy na piętrze w tym budynku, a potem w tym małym domku przy młynie. Sporo czasu w tym młynie spędzałem. A na tym zdjęciu jest moja babcia Widera. Idzie na targ do Gliwic. Babcia mieszkała na Żykietce, pod lasem.

A.R.: Widzę, że i pan interesuje się historią rodziny i rodzinnej miejscowości.

I.M.: Chodziłem nawet po ludziach, pytałem o stare zdjęcia. Ale wiele razy spotkałem się z zupełnym brakiem zainteresowania i woli współpracy. To, co udało mi się zebrać zamieszczam na swoim profilu na Facebooku.

A.R.: Pięknie, że dzielicie Państwo te historyczno-genealogiczne pasje. I że w waszym domu znajdują swoje miejsce znalezione przez was pamiętki przeszłości. Dziękuję za udostępnienie nam tych pięknych zdjęć - będą dostępne dla wszystkich zainteresowanych na stronie Pilchowice Historia Gminy i w naszym gminnym Archiwum Społecznym.

Dziękuję również za rozmowę.



Agnieszka Robok



Ślub Gertrudy i Alojzego Baron. Dolna Wies 1930 r.



Pracownicy piaskowni między Leboszowicami a Smolnicą.



Pracownicy tartaku w Leboszowicach.



Państwo Irena i Ludwik Maruszczak.

Chleba naszego powszedniego daj nam...

Wielu z nas zapewne zna ten werset. Dla części osób być może już spowszedniał albo stał się banalny. Chleb na naszych stołach to rzecz normalna i oczywista – wydawałoby się tak pewna jak słońce na niebie. Czy zawsze tak było? Sięgając do historii wiemy, że nie.

Dla przypomnienia sięgnijmy do okresu Wielkiego Głodu na Ukrainie na początku XX wieku, kiedy zmarło kilka milionów ludzi. Przypomnijmy sobie także okres II wojny światowej i czasy powojenne. Powszechny brak chleba przyczynił się wówczas do śmierci wielu ludzi. Najlepiej do czytelnika lub słuchacza trafiają bezpośrednie relacje – dlatego chciałbym sięgnąć po osobistą historię mojego ojca i moją.

Mój ojciec Ewald Klos w wieku 16 lat, jako obywatel III Rzeszy Niemieckiej, w 1945 roku trafił do sowieckiego obozu pracy w Donbasie na Ukrainie. Przeżył tylko dzięki umiejętności gry na akordeonie, umiłując życie strażnikom obozowym późnymi wieczorami i nocą. W zamian dostawał dodatkową porcję chleba.

W 1981 roku, podczas stanu wojennego, przyszło mi odbywać służbę w Ludowym Wojsku Polskim. Wtedy, choć w znacznie mniejszym stopniu niż mój ojciec i jego pokolenie, również doświadczyłem braku chleba. Kiedy na nasze poligonowe obozowisko nieregularnie przyjeżdżał transport żywności – zwłaszcza chleba – cieszyliśmy się niezmiernie. Zmarznięte na kość bochenki rąbaliśmy siekierami na kawałki, aby potem rozmrażać je w ustach ciesząc się ich smakiem.

Kto nie zaznał takich lub podobnych doświadczeń, być może nie do końca rozumie, czym jest brak chleba.

Nikomu nie życzę podobnych przeżyć, ani nawet namiastki tego, co spotkało ludzi na Ukrainie podczas Wielkiego Głodu, ani tego, co przeżyło pokolenie mojego ojca oraz tego, czego sam doświadczyłem.

Dawniej, kiedy gospodyni zaczynała kroić bochenek chleba, najpierw czyniła na nim znak krzyża, a każdy okruszek, który spadł ze stołu, był z szacunkiem podnoszony i całowany. W naszych czasach już niewielu praktykuje tę piękną tradycję. Warto jednak wrócić do zwyczajów i tradycji naszych ojców.

Ciężka praca rolników i gospodarzy jest doceniana co roku podczas dożynek – wtedy hucznie obchodzimy święto plonów. Przy tym wszystkim zapominamy trochę o piekarzach. Kiedy my w nocy smacznie śpimy, w piekarniach rozpoczyna się ciężka praca.

Pył mączny, wysoka temperatura pieców, tony mąki, ciasta i wypieków dają się piekarzom we znaki.

Choć dzisiaj maszyny w znacznym stopniu ułatwiają im pracę, nie potrafią w pełni zastąpić wszystkich czynności człowieka przy wypieku chleba, bułek czy rogalików.

Zachęcam czytelnika do chwili refleksji, kiedy będzie sięgał po kromkę chleba. Może w modlitwie przed jedze-

niem – którą niektórzy z nas jeszcze odmawiają – warto wspomnieć o piekarzach i ich ciężkiej, oddanej pracy.

W naszej gminie Pilchowice mamy pięć piekarni, w których właściciele wraz z całym personelem i sprzedawcami starają się, abyśmy mieli codziennie świeże pieczywo na stołach.

Największą wdzięcznością dla nich będzie to, że będziemy kupować ich wyroby, co pomoże w utrzymaniu piekarni i miejsc pracy całego personelu. A jak wiadomo – najsmaczniejszy chleb i najlepsze pieczywo pochodzą z małych, rodzinnych piekarni.

Pragniemy Państwa zapoznać z naszymi gminnymi piekarniami przedstawiając ich krótką historię.



Piekarnia Bogackich w Pilchowicach.



Piekarnia w Nieborowicach

Piekarnia w Nieborowicach mieści się przy ulicy Główniej 26, właścicielem tej piekarni był Leon Roj, który przejął ją po swoim ojcu Józefie Roju.

W 1997 r. piekarnię odkupili państwo Skatułowicz z Książenic.

W najlepszym okresie funkcjonowania piekarni pieczywo z Nieborowic można było zakupić w Knurowie, Leszczynach,

Szczygłowicach, Bełku, Dębieńsku, Gliwicach, Żernicy i Sośnicowicach.

Obecnie pieczywo pana Bogdana Skatuły, który prowadzi piekarnię z żoną i synem, można kupić w ich sklepiku przy piekarni i w sklepie w Chwałęcicach.

Pan Bogdan zapewnia, że jego pieczywo jest robione w naturalny sposób

i bez żadnych środków chemicznych, a mąka kupowana z pewnego źródła z polskiego zboża.



Ingemar Klos

Piekarnia Bogacki

Piekarnia Bogacki działa od 1956 roku, czyli ponad 70 lat. Do 1984 roku piekarnię prowadził Mieczysław Bogacki, a następnie syn - Andrzej Bogacki z żoną Heleną.

Od 2007 roku właścicielami piekarni są Marek i Monika Bogaccy wspierani obecnie przez synów Dawida i Kamila. Jest więc to już czwarte pokolenie rodziny pracujące w pilchowskiej piekarni.

Aktualnie piekarnia Bogacki sprzedaje swoje produkty w dziesięciu sklepach firmowych poza Pilchowicami oraz w 30 innych punktach.

Zakład wypieka około 1500 chlebów jasnych dziennie, kilkaset innych: foremkowych, żytnich, orkiszowych, sojowych.

Firma wspiera wiele imprez i lokalnych instytucji np. dożynki, jarmarki, wydarzenia sportowe w klubach w Pilchowicach, Stanicy czy Wilczy.

Dostarcza pieczywo oraz wyroby cukiernicze na uroczystości odbywające się w szkołach i przedszkolach, wspiera także inicjatywy charytatywne.

Piekarnia Bogacki od 2018 r. co roku nagradzana jest Złotymi Orłami Piekarnictwa.

Najlepszą opinią wystawioną piekarni Bogacki są kolejki ustawiające się po pieczywo o każdej porze dnia i fakt, że po wyroby przyjeżdżają klienci z odległych nierzaz miejscowości.

Firma ciągle się rozwija, poszerza asortyment i dociera do coraz liczniejszej grupy klientów.

Zaletą produktów piekarni Bogacki jest ich wypiekanie z naturalnych składników, niepowtarzalność receptur oraz pasja i tradycja tworzenia pieczywa przekazywane w rodzinie Bogacki od czterech pokoleń.

(źródło - Monika i Marek Bogaccy)

Piekarnia Erfurt

Piekarnia powstała w 1988 r. założona i wybudowana z inicjatywy małżeństwa Wandy i Gerarda Erfurtów.

Na początku firma była prowadzona w formie jednoosobowej działalności gospodarczej.

Pan Gerard Erfurt uczył się fachu od swojego ojca Antoniego, który chcąc uniknąć śmierci w obozie zagłady oszukał, że jest piekarzem i zgłosił się do

pracy w kuchni. Tym sposobem przeżył i jednocześnie sam nauczył się robić i wypiekać pieczywo.

Po wyjściu z obozu przekazał swoją wiedzę i fach synowi Gerardowi. Antoni i Gerard na początku pracowali w lokalnej piekarni w Brzezince. Po śmierci Gerarda Erfurta w 2009 r. piekarnię w formie spółki cywilnej prowadziło czterech jego synów.

Obecnie piekarnia jest prowadzona przez trzech braci, a wypieki w większości opierają się na tradycyjnych recepturach, które zostały im przekazywane z pokolenia na pokolenie.

To niewielka piekarnia zatrudniająca kilka osób, w większości z okolicznych miejscowości.

(źródło - Tomasz Bogacki)

Piekarnie w Wilczy

Aktualnie w Wilczy pracują 2 piekarnie rodzinne, w których zaopatrują się nie tylko mieszkańcy Wilczy. Wypieki są też rozwożone do okolicznych miejscowości. Chleby są wypiekane na zakwasie, który jest produkowany z mąki żytniej i wody podczas mieszania w odpowiednich proporcjach znanych tylko piekarzom.

Piekarnia i Cukiernia Erwin Szymura przy ul. Karola Miarki 135 została uruchomiona w 1902 r. przez dziadka obecnego właściciela - Leonarda Grychtolika. Aktualnie piekarnia jest zmodernizowana, a wypieki są doprawiane tradycją od 35 lat. Na fasadzie piekarni wisi mała kapliczka z figurką Matki Boskiej.

Druga piekarnia to H.B.W. Szymura przy ul. Karola Miarki 92 założona przez mistrza piekarnictwa Emila Szymurę w roku 1958, któremu początkowo pomagał brat Stefan, a potem jego żona Dorota. Obecnie piekarnia z dużym zaangażowaniem i powodzeniem prowadzona jest przez rodzinę założyciela i cieszy się bardzo dobrą opinią konsumentów.

Obydwie piekarnie dostarczają chleb i „kołocz” na wilczańskie dożynki.

W okresie międzywojennym i do końca lat pięćdziesiątych XX wieku w Wilczy Dolnej funkcjonowała piekarnia założona przez Alfreda Jerscha wraz z rodziną, który przybył do Wilczy z Chorzowa (aktualnie ul. Karola Miarki 43).



Ryszard Pławecki

Niestety, piekarnia państwa Schultzów z Żernicy już nie istnieje – a szkoda, wielka szkoda.

Historia tej piekarni nadaje się na osobny artykuł, który może kiedyś w przyszłości ukaże się w tym czasopiśmie.

Ingemar Klos



Założyciel piekarni Emil Szymura z rodziną i sąsiadami przy mostku dożynkowym koło swojego punktu handlowego – kiosku (początek lat 60.)



Przed piekarnią Alfreda Jerscha.

Mateusz Szołtyśnik:

Pilchowice?

To mój prawdziwy dom. Moja ostoja

Chyba nie ma Pilchowiczana, który by o nim nie słyszał. Zodiakalny Lew, a więc naturalny przywódca. Nie boi się wyzwań i lubi przewodzić, charyzmatyczny, ambitny, energiczny, z silną wolą, zdeterminowany w dążeniu do sukcesu zarówno w życiu zawodowym jak i osobistym, gotowy do pomocy i współpracy. Mateusz Szołtyśnik.

- Mieszkasz w Pilchowicach od urodzenia. Co Cię tu trzyma?

- Dom rodzinny przy Leboszowskiej. Jest ważny w moim życiu. Kiedyś była tam kuźnia. Pradziadek Józef był kowalem. Przed laty ten dom był bardzo brzydki, wręcz rozpadający się z czerwonej cegły. Za granicą poznałem nowoczesne technologie budowlane i zastosowałem je przy jego remoncie. Teraz mam tam mieszkania i garaże. To był pierwszy budynek, który wyremontowałem. Pierwszy mój budynek pod wynajem, pierwsza moja nieruchomość.

Wracając do dzieciństwa najbliższa była mi babcia, bo to ona wychowywała mnie naprawdę. Babcia Ela. Elżbieta Lenza. I to ona chyba przekazała mi taki twardy charakter. Dziadka też pamiętam. Miał firmę i pra-

cował w Niemczech. Był fanem motocykli i sportowych aut. Chyba po nim mam zamiłowanie do aut we krwi.

Jeszcze na gitarze grał. Ja też się uczę, kiedyś mi się uda coś fajnego zagrać.

Muszę też dodać, że mieszkalem między innymi w Londynie, gdzie wyjechałem mając lat kilkanaście.

Chciałem zarobić na realizację marzeń i ewentualne biznesy.

Do Pilchowic zawsze wracałem, bo tu jest mój prawdziwy dom, moja ostoja.

- Dzisiaj nieruchomości to Twój biznes.

- Tak, moja firma, zajmuje się obrotem i wynajmem nieruchomości wraz z obsługą prawną i formalną. Zarówno moich, jak i na zasadzie pośrednictwa. Do tego dochodzi wynajem luksusowych samochodów i motocykli do te-

wych samochodów i motocykli do teledysków, filmów, wesel, przejazdów z adrenaliną, sesji zdjęciowych.

Ponadto jestem trenerem personalnym i prowadzę siłownię w Rybniku.

- Z tego co wiem, w Twoim życiu nie zawsze było „różowo”...

- Był taki etap w moim londyńskim życiu, że prawie przez rok byłem bezdomny. Paradoksalnie, teraz, moja firma zajmuje się wieloma nieruchomościami, które są moją własnością.

Wtedy spałem gdziekolwiek mogłem, często w opuszczonych budynkach.

Teraz wiem, że tak trudne sytuacje kształtują i wzmacniają charakter, dając wiarę, że jeżeli kiedykolwiek znów nie miałbym pieniędzy, to sobie poradzę.



- Jak wyszedłeś z bezdomności na obczyźnie? Byłeś młody, w obcym kraju.

- Pracę. W zimie jeździliśmy budować hotele i firma, która nas zatrudniła, pozwalała korzystać z budowanych przez nas pokoi hotelowych. Mogłem zrobić ręczne pranie w wannie, ugotować jajka w czajniku.

Zostałem takim „supervisorem” firmy – brygadystą. Intensywnie uczyłem się języka. Będąc pomocnikiem pewnego budowlanca okazało się, że razem z bratem są szefami największej firmy zajmującej się budową hoteli. Jak mnie poznał to zaprosił do swojego domu. Okazało się, że z żoną miałby syna w moim wieku. Niestety zmarł. Pozwili mi zamieszkać w jego pokoju. Przygarnęli mnie, można powiedzieć, tak jakby z drogi. Jego żona uczyła mnie języka. Byłem dla nich takim małym, dużym dzieckiem. Otrzymałem duży kredyt zaufania. Związany również z pracą, zacząłem samodzielnie prowadzić budowy z moją ekipą Polaków.

Jestem im za to ogromnie wdzięczny.

Miałem szczęście, bo w Anglii było bardzo dużo złych ludzi, w tym Polaków oszukujących rodaków.

- Porozmawiajmy o Twoich pasjach.

- Po pierwsze siłownia. Towarzyszy mi od 13 roku życia i nauczyła mnie wytrwałości. Założyłem się kiedyś, że uda mi się zrzucić 47 kg w 6 miesięcy, ze 150 kg początkowej wagi, do 100 z hakiem. Nie było dróg na skróty i osiągnąłem sukces.

Inna moja pasja to wszelakie pojazdy sportowe, szczególnie samochody i motocykle. Kupione z głową, bowiem najpierw zajęłem się inwestycjami, a następnie spełnianiem swoich motoryzacyjnych marzeń.

Teraz moje auta już zarabiają na siebie na wystawach, na akcjach charytatywnych.

Sportowe auta czy motory to również adrenalina, taka odskocznia. Nie piję alkoholu więc pojazdy pomagają mi odreagować.

Ostatnio za sprawą wizyty u Marcina Różalskiego, byłego zawodnika KSW, przełamałem lęk przed jazdą konną. Byłem u niego po zorganizowaniu zbiórki na jedzenie dla koni i dla psiaków. No i zacząłem jeździć konno w lokalnej stajni JustArz Wilczy.

Lubię też podróżować. Zwiedziłem m.in. Meksyk, Kolumbię i Dubaj. Jak już zdecyduję się trochę zwolnić to chciałbym więcej podróżować po świecie. I to tak, długoterminowo i aktywnie. Może rok, może dwa. Wsiąść na motor i gnać przed siebie. Mam za sobą pobyt w Tajlandii, gdzie podróżowałem na motorze.



- Jak to się stało, że zostałeś „związkowcem”?

- W 2015 roku Jastrzębska Spółka Węglowa była na skraju kryzysu, podobnie jak teraz. Średnio ufałiliśmy naszym ówczesnym związkowcom. Zawiedli nas i jako zwykli pracownicy postanowiliśmy utworzyć swój związek. Był znany na innych kopalniach, aż wreszcie założyliśmy ZZ Jedność na ruchu Knurów. Obecnie jesteśmy w trójce największych organizacji związkowych na kopalni, a zarazem najmłodszy. W tym roku obchodzimy 10-lecie.

To ciekawa i odpowiedzialna praca. Taka na 24 godziny na dobę. Zwłaszcza, jak jest jakieś nagłe zdarzenie. Mieliliśmy trudny czas, osobiście też miałem, bo zostałem niesłusznie zwolniony, a następnie po trzech latach sądownie przywrócono do pracy.

- Organizujesz wiele akcji charytatywnych. Kogo objąłeś swoją pomocą i prywatnie, i jako związkowiec?

- Są to ludzie niepełnosprawni, zwierzęta, psiaki, konie, schroniska, powodzianie, kluby sportowe, zawodnicy różnych dziedzin, od żużla po sporty walki i ciężary.

W niesieniu pomocy wspiera mnie kolega Grzegorz Przybysz wraz z żoną Agnieszką, a także kluby sportowe, ROW Rybnik czy Górnik Zabrze.

Akcje charytatywne dają moc i siłę, a także radość, zadowolenie i uczucie, którego nie potrafię nazwać.

To mnie napędza, pokazuje, że warto, że trzeba, że to jest właściwe.

- Możesz zdradzić najskrytsze marzenia?

- Zdrowie mam, ale dobrze by było, gdybym potrafił sobie powiedzieć Mateusz - zwolnij.

Mój charakter na to nie pozwala.

Marzę o takiej wolności, by wsiąść w pociąg, pojechać byle gdzie, zjeść po drodze bułkę z kiełbasą, zapić kefirem i jechać, jechać...

Jako ciekawostkę mogę powiedzieć, że lubię sadzić róże. Wzdłuż płotu posadziłem te kwiaty, które dostaję od ludzi w podziękowaniu. Sadzę je i kiedy kwitną to... każdą różę pamiętam, kto mi dał w podziękowaniu i za co.

- Chcesz coś przekazać Czytelnikom?

- Fajnie, że mogłem o sobie opowiedzieć i fajnie było wspominać.

Pozdrawiam Czytelników.



Mateusz Szoltyśnik:

W biurze związkowym mam Ścianę Dobrych Uczynków.

Na tej ścianie jest wiele podziękowań od prywatnych ludzi i instytucji za udzieloną pomoc.

Jak jestem zdenerwowany, że nic nie idzie tak, jak by się chciało, wtedy patrzę na tę ścianę, przypominam sobie, jak to było wcześniej, emocje wracają i zaś robię kolejną rzecz.



Teresa Bochenek

„LETNIA ZADYMA W ŚRODKU ZIMY”? TAK, Gmina Pilchowice zagrała z WOŚP!!!

Po raz szósty nasza gmina włączyła się w ogólnopolskie granie na rzecz zdrowia najmłodszych. Tegoroczny finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy dedykowany był wsparciu gastroenterologii dziecięcej, czyli leczeniu chorób przewodu pokarmowego u dzieci.

To powód do dumy, że lokalna społeczność mogła stać się częścią ini-

cyjatywy o globalnym zasięgu, łączącej ludzi wokół wspólnego celu. Ten wyjątkowy dzień po raz kolejny udowodnił, jak wielką siłę ma wspólnota. Cała gmina zjednoczyła się, by pomagać i dzielić się dobrem. Bez zaangażowania mieszkańców, rad sołteckich, szkół, organizacji społecznych, lokalnych firm oraz licznych wo-

lontariuszy realizacja wydarzenia na tak szeroką skalę nie byłaby możliwa. Finałowe granie odbyło się popołudniu w Domu Kultury w Żernicy, jednak już od wczesnych godzin porannych w Wilczy, Pilchowicach i Nieborowicach tętniło życie. Mieszkańcy przygotowali wiele atrakcji i inicjatyw.

SPORTOWY TURNIEJ W PILCHOWICACH

W pilchowickiej szkole odbył się już 5. Sportowy Turniej, gdzie zegrali młodzi piłkarze z lokalnych klubów - Orzeł Starnica, Wilki Wilcza, Victoria Pilchowice, Naprzód Żernica. Ich mecze przeplatane były pokazami tanecznymi Studia Tańca i Ruchu EFFORTE, kick-bokserów z Kickboxing Group Calabria i młodych koszykarek z RMKS Rybnik. Na deskach hali zaprezentował się także niezwykle utalentowany duet modern w przepięknej, emocjonalnej choreografii „What's in your head?”.

Niezastąpione Stowarzyszenie Pilchowiczanie Pilchowiczanom zagwarantowało młodym sportowcom watę cukrową i popcorn.

Z SERCEM NA MACIE - YOGISIOWO

Agata Szczecińska z Yogisiowo gra z nami od I Finału! Co roku organizuje dzień pełen sportowych zajęć, tak i było tym razem. Poza praktykami jogi były także warsztaty robienia musujących kul oraz zabawy dla najmłodszych.

WILCZE GRANIE DLA WOŚP

Sylwester Ciukaj zaprosił na Turniej FIFA w Wilczy. Młodzi strażacy z MDP OSP z Adamem Owczorzem przygotowali warsztaty I pomocy oraz piekły kiełbaski. Panie z KGW razem z najmłodszymi piekły ciasteczka, a Maja Sowa poprowadziła warsztaty ceramiczne. Hitem były przejażdżki quadami. Dzięki Sandrze Kuc z grupy Czuby Quad Garage, zjechało kilkanaście quadów - również dla dzieci - z całego Śląska.



KREATYWNA STREFA W ŻERNICY

Gminna Biblioteka Publiczna w Pilchowicach przygotowała warsztaty „ZDROWO(biblio)TEKA” – nie zabrakło zagadek o zdrowiu, gipsowych figurek, teatrzyku kamishibai. Pracownia Działań Twórczych – zaprosiła całe rodziny to wspólnego szycia i ozdabiania filcowych serduszek. Razem ze staniczkiem KGW można było wykonać mydełka, przypinki, magnesy i lusterka.

NIEBOWIELKA ORKIESTRA SERC

Nieborowicka Rada Sołecka z sołtysem oraz KGW przygotowali, jak i w zeszłym roku moc atrakcji, m.in. przejażdżki wozem z sołtysem i ciągnikiem siodłowym, warsztaty florystyczne, mini kurs AED i I pomocy z Ergo-Complex, WOŚPowy PIT STOP Serwisowy przegląd auta z Auto Centrum, pilates i warsztaty nordic walking i spacer z kijkami z Zatyranymi. Dla uczestników czekała bogata strefa gastronomiczna – kiełbaski, grochówka, ciasta i kawa. Oprawę muzyczną zapewnił DJ MOL.

FINAŁOWE GRANIE W ŻERNICY

Kulminacją całodniowych wydarzeń był finał w Domu Kultury w Żernicy. Dzięki współpracy z sołtyką i radą sołecką - były przejażdżki bryczką i konno, kiełbaski z grilla, a staniczkie KGiGW raczyło nas przepyszną kawą z ciastem, popcornem, watą cukrową i hot-dogami.

Na żernickiej scenie wystąpili: zespół Marana Tha!, Magdalena Czarnecka, Natalia Nowak oraz Marta Dobosz. W niezwykle poruszającą, muzyczną podróż zabrali nas młodzi artyści ze Studia Musicalowego „The Chance”. Premiera ich spektaklu „S.O.S.!” była zwieńczeniem wielu tygodni prób i ogromnego zaangażowania.

Reżyserię i scenariusz przygotowała Anna Jakiesz-Błasiak, prowadząca studio, a choreografię - Emilia Jarzynka. Za realizację dźwięku odpowiadał Adam Oleszowski, za oświetlenie - Wacław Czarnecki. Na scenie wystąpiły: Maja Jarzynka – Julia, Kinga Wolf – Maja, Wiktoria Galus – Kasia, Magdalena Bazan – Zosia, Milena Sikora – Natalia, Lena Urbańska – Lena oraz Alicja Rzemień – Babcia, a także zespół wokalny i taneczny Studia „The Chance”.

Całość wydarzenia zwieńczyło tradycyjne „Świątełko do nieba” – hymn Orkiestry, zimne ognie i konfetti, które symbolicznie zakończyły 34. Finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

Dziękujemy z całego serca za to, że tak pięknie z nami graliście. A MY? Gramy do końca świata i jeden dzień dłużej!



Siema!
szef sztabu #7910 Gminy Pilchowice

Monika Kustra-Polak



135

wolontariuszy

91

aukcji

70

partnerów

64

tysiące

to jest rekordowa kwota w historii Sztabu WOŚP Pilchowice



Działalność Stowarzyszenia Pilchowiczanie Pilchowiczanom

od drugiej połowy października 2025 do stycznia 2026

Znowu wiele się działo. Tematyka spotkań była jak zwykle bardzo zróżnicowana. Ale po kolei.

19 października (niedziela) odbył się zapowiadany w poprzednim numerze „Informacji...” Koncert Młodych Talentów. Wydarzenie, tradycyjnie zorganizowane przez Agnieszkę Robok we współpracy z GOK Pilchowice, zgromadziło liczną grupę młodych instrumentalistów na scenie Domu Kultury w Żernicy. Ich wyjątkowe występy, ważne dla rozwoju młodych muzyków, umożliwiły prezentację umiejętności i wymianę doświadczeń.

Poniedziałki na przełomie roku również upływały pod znakiem muzyki. 8 grudnia grał na saksofonie Stefan Powąta, 29 grudnia śpiewaliśmy kolędy wspólnie z Agnieszką Robok, Karolem Hrubeszem i Marysią Oleszowską, natomiast 5 stycznia bawiliśmy się przy akompaniamencie Georga Goretzkiego.

Nie zabrakło także spotkania poświęconego lokalnej historii. 3 listopada Karol Hrubesz przedstawił nam efekt swoich poszukiwań w archiwach opowiadając o powołaniach kaptuńskich z parafii Pilchowice do przełomu XIX i XX wieku.

Pod koniec października, w ramach projektu „Aktywni plus”, odbyło się spotkanie z Agatą Śliwą poświęcone zasadom dobrego wychowania w różnych sytuacjach życiowych. Okazało się, że jednak mamy pewne braki...

W ramach tego samego projektu, 10 listopada, robiliśmy stroiki świąteczne w czasie warsztatów rękodzielniczych prowadzonych przez Ksenię Kasprzyką-Sobczyk.

Nie zabrakło również akcentu turystycznego. 24 listopada (poniedziałek) odbyło się spotkanie z Damianem i Mikołajem Hamerlą „Morskie podróże ojca i syna”. Z wielkim zainteresowaniem słuchaliśmy o rodzinnym żeglownianiu, o jachtach, sztormach – powiało wielkim światem.

15 grudnia sami wybraliśmy się na wycieczkę. Znacznie bliżej - do Sztolni Królowej Luizy w Zabrze i na jarmark świąteczny do Katowic. To był bardzo udany wyjazd...

Na początku grudnia zorganizowaliśmy XIV Pilchowski Jarmark Bożonarodzeniowy pod honorowym patronatem wójta Gminy Pilchowice Macie-



ja Gogulli i we współpracy z Gminnym Ośrodkiem Kultury, Zespołem Szkolno-

Przedszkolnym, sołtysem i radą sołectką oraz Gminą Pilchowice.

Jak zwykle program był bardzo bogaty. Wystąpiły chóry AMANTI DEL CANTO i Młodzieżowy Chór Mieszany Schola Cantorum, oba pod dyrekcją Kamilli Pająk. Następnie zaśpiewał młody wokalista Damian Stampka-Łoziński. Potem sceną zawładnęły dzieci: uczniowie i przedszkolaki przygotowane przez pedagogów z Pilchowic, a także dzieci i młodzież ze Studia Tańca i Ruchu EF-FORTE prowadzonego przez Darię Pawlak i oraz młodzież z Zespołu Tanczonego PERFECT.

Jak zwykle była wystawa obrazów – tym razem akwarele autorstwa Dobrochny Ząbkowskiej.

Gościem wyjątkowym był Piotr Kulczyzna – leśnik, podróżnik, miłośnik historii Polski, koniarz i pisarz.

Dzieci były witane przez Misie Tulisie częstujące cukierkami. A do tego pieczenie pierniczków, kącik rękodzielniczy dla dzieci prowadzone przez GOK, warsztaty zdobienia bombek prowadzone przez Aleksandrę Kuskę.

Była loteria fantowa, w której wygrał każdy los, wystawa prac pilchowskich przedszkolaków, kącik kawowy oraz kiermasz wyrobów rękodzielniczych, pasmanteryjnych, garmażeryjnych i ciast. Jarmark, jak zwykle, prowadziła brawurowo Teresa Bochenek. Odbyły też bardziej kameralne spotkania – opłatek, wspomnienia o świętach naszego dzieciństwa czy dawnych obyczajach karnawałowych.

19 stycznia gościliśmy Grupę Teatralną ANTRAKT z Knurowskiego UTW ze spektaklem „Z kolędą przez świat”. Dzięki naszym gościom dużo dowiedzieliśmy się o zwyczajach świątecznych w różnych krajach świata. Równolegle z organizacją poniedziałkowych spotkań realizowaliśmy inne przedsięwzięcia.

Dzięki inicjatywie Agnieszki Robok kolejny raz dzieci z gminnych szkół i przedszkoli przygotowały kartki z życzeniami świątecznymi dla mieszkańców Domów Pomocy Społecznej w Pilchowicach i Kuźni Nieborowskiej.

Darowizna otrzymana od firmy Saint-Gobain Construction Products Polska Sp. z o.o. wykorzystaliśmy w całości na remont budynku gospodarczego w parku. W realizację prac włączyła się rada sołecka i Gmina Pilchowice.

Sfinalizowaliśmy wykonanie niewielkiego lapidarium na terenie zabytkowego cmentarza za szpitalem. Dzięki zgodzie Urzędu Gminy i Śląskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, a także ogromnemu zaangażowaniu Wojciecha Gąbki zostało przygotowane miejsce, gdzie są wyeksponowane m.in. stare tablice nagrobne pozyskane od mieszkańców Pilchowic, w tym



płyta nagrobna przeora pilchowskich bonifratrów brata Severinusa Matuschka.

Lapidarium zostało sfinansowane całkowicie z naszych środków zebranych w czasie zbiórki publicznej „Pamiętamy o historii”.

Bardziej szczegółowo napiszemy o tym przedsięwzięciu w następnym numerze. W najbliższych planach mamy XI babski comber „Kapelusze...”. Będzie spotkanie z dietetyczką, warsztaty relaksacyjne. Już teraz serdecznie zapraszam.



Anna Surdel



METALCO

ZAUFANY PARTNER NA KAŻDYM ETAPIE
KOMPLEKSOWE WSPARCIE W JEDNYM MIEJSCU.

📍 44-144 ŻERNICA, UL. GŁIWICKA 5

📞 DZIAŁ HANDLOWY: +48 730 239 315
SKLEP INTERNETOWY: +48 693 561 153

🌐 WWW.METALCO.PL

Firma z ponad 40 letnią tradycją



KONSTRUKCJE
STALOWE



HURTOWNIA
BUDOWLANA



NOWA STACJA
STACJA PALIW



WYROBY HUTNICZE



ZBROJARNIA



BLACHY

Mikrobank Bank Spółdzielczy
BANKOMBS
Mój Bank. Spółdzielczy

EKO KREDYT GOTÓWKOWY

- Atrakcyjne oprocentowanie
- Niska prowizja
- Okres kredytowania aż do 96 miesięcy
- Brak ukrytych kosztów

RRR w skali 12,41% na podstawie przybliżonej rocznej efektywnej stopy oprocentowania 12,50% w skali rocznej, bez opłat i prowizji w 30 dniowych okresach rat (21 miesięcy rat w kwocie 404,00 zł i ostatniej raty wypłaconej 404,00 zł). Finansowa za umieszczenie wprost 100,07 zł, planowa w dniu podpisania. Całkowity koszt kredytu (przy ratach 213,07 zł, całkowity koszt do zapłaty wynoszący 17.012,67 zł. Stan na dzień 11.04.2021 r.)

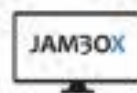


INTERNET W GMINIE PILCHOWICE

www.alkom.info



ŚWIATŁOWÓD



TELEWIZJA

Od ponad 20 lat tworzymy internet w Gminie Pilchowice!

Więcej informacji:

www.alkom.info | umowy@alkom.info | 507-178-546

44-145 Pilchowice, ul. Rynek 27

PROGNOSTIC PRZYCHODNIA SPECJALISTYCZNA PROGNOSTIC

Knurów ul. Kozielek 8, tel. 32 236-30-10

ZAPRASZAMY NA KONSULTACJE LEKARSKIE U SPECJALISTÓW:

- kardiolog
- ortopeda
- diabetolog
- endokrynolog
- chirurg
- gastrolog
- ginekolog
- dermatolog
- hematolog
- neurolog
- psychiatra
- psycholog
- fizjoterapeuta
- pulmonolog
- reumatolog
- stomatolog
- radiolog
- urolog

USG • RTG • EMG • TESTY WYSIŁKOWE



Apteka św. Barbary

- Pilchowice, ul. Dworcowa 22
pon.-pt. 8.00-19.00, sob. 8.00-13.00
tel. 32 235-65-80
- Punkt Apteczny: Wilcza, ul. K. Miarki 123
pon.-pt. 8.00-16.00, sob. 8.00-12.00
tel. 32 239-72-20

MONZA
CAR SPA

Monza Car Spa to miejsce, o którym marzy
Twój samochód.

- Korekta lakieru
- Aplikacja powłok ceramicznych oraz wosków
- Detailing wnętrza
- Pranie i impregnacja tapicerki
- Przygotowanie auta do sprzedaży
- Zabezpieczenie nowego auta

📍 Monza Car Spa
@detailingmonza

Pilchowice,
ul. Leboszowska 36f
Tel. 502 732 507

PPK

PILCHOWICKIE
PRZEDSIĘBIORSTWO
KOMUNALNE Sp. z o.o.

www.ppk.pilchowicka.pl